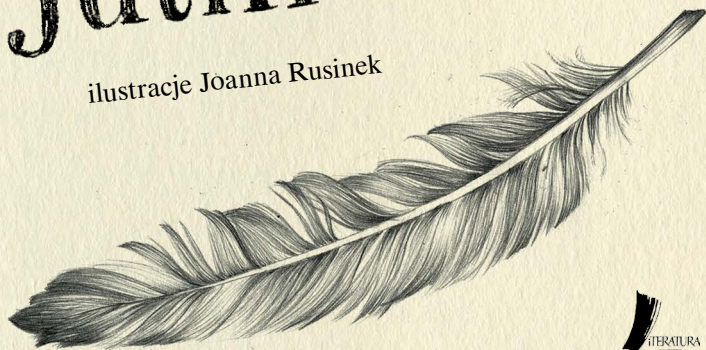


Dorota Combrzyńska-Nogala

Bezsenność Jutki

ilustracje Joanna Rusinek



LITERATURA

Dorota Combrzyńska-Nogala
Bezenność Jutki

© by Dorota Combrzyńska-Nogala
© by Wydawnictwo Literatura

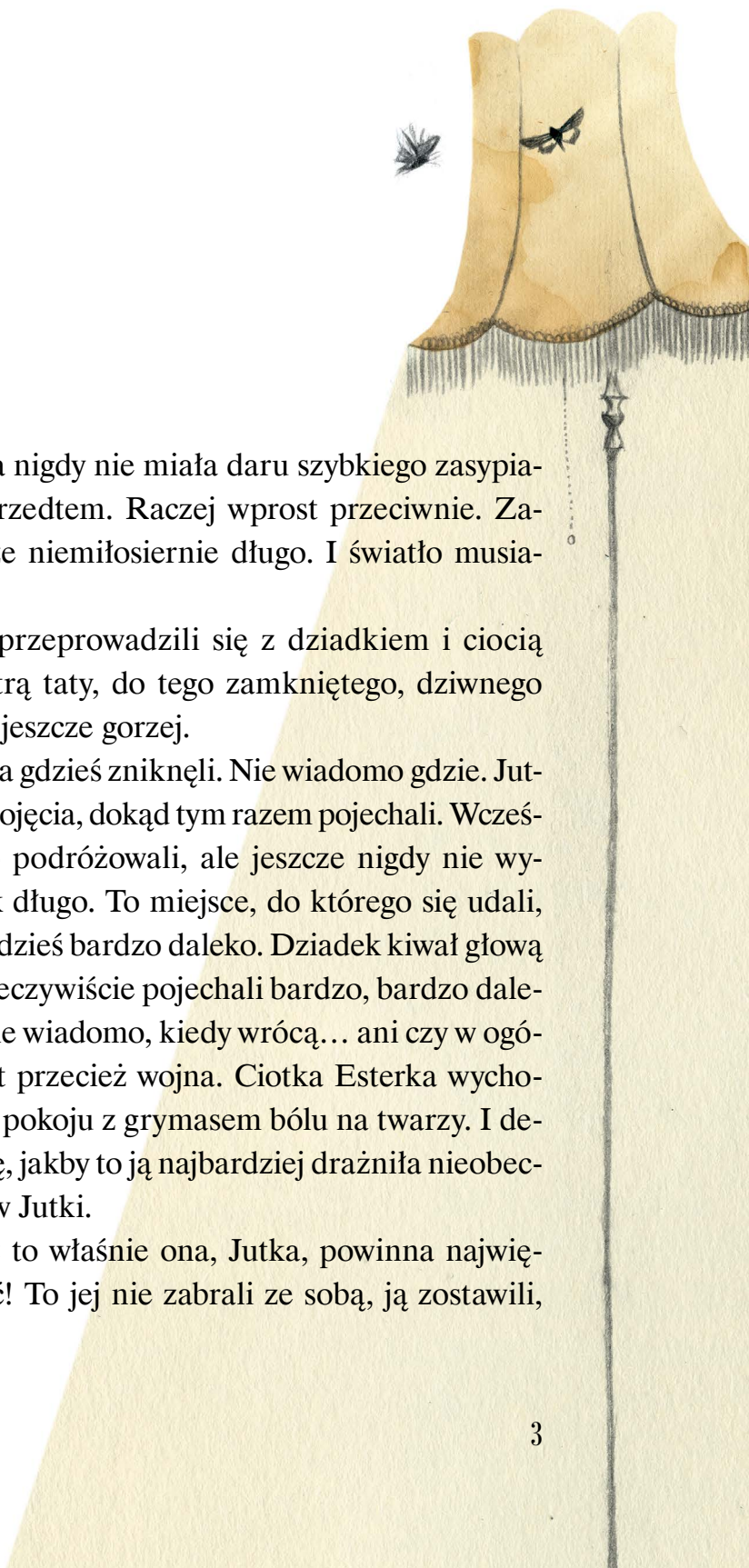
Okładka i ilustracje:
Joanna Rusinek

Redakcja i korekta:
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie III

ISBN 978-83-7672-561-1

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2018
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wyd-literatura.com.pl
tel. (42) 630 23 81
www.wyd-literatura.com.pl



Mała Jutka nigdy nie miała daru szybkiego zasypiania. Nawet przedtem. Raczej wprost przeciwnie. Zасыпiała zawsze niemiłosiernie długo. I światło musiało się palić.

Od kiedy przeprowadzili się z dziadkiem i ciotką Esterką, siostrą taty, do tego zamkniętego, dziwnego miejsca, było jeszcze gorzej.

Mama i tata gdzieś zniknęli. Nie wiadomo gdzie. Jutka nie miała pojęcia, dokąd tym razem pojechali. Wcześniej też dużo podróżowali, ale jeszcze nigdy nie wyjechali na tak długo. To miejsce, do którego się udali, musiało być gdzieś bardzo daleko. Dziadek kiwał głową i mówił, że rzeczywiście pojechali bardzo, bardzo daleko i jeszcze nie wiadomo, kiedy wrócą... ani czy w ogóle wrócą. Jest przecież wojna. Ciotka Esterka wychodziła wtedy z pokoju z grymasem bólu na twarzy. I denerwowała się, jakby to ją najbardziej drażniła nieobecność rodziców Jutki.

A przecież to właśnie ona, Jutka, powinna najwięcej się złościć! To jej nie zabrali ze sobą, ją zostawili,

co prawda z ukochaną ciotką i dziadkiem Dawidem, ale zawsze... To nie było w porządku.

No i to miejsce! Okropne! Niemcy resztę świata odgradzili drutem kolczastym! Zamknęli wszystkich Żydów. Nie, inaczej, świat został podzielony na dwie części, ich część nazywa się Litzmannstadt Ghetto i nie można z niego wyjść. Najwyżej wyjechać niemieckim pociągiem, ale nikt nie chce, bo potem się znika. Na zawsze. Tak mówią dzieci na podwórku.

– To miasto nazywa się Łódź.

– A co to jest w takim razie Litzmannstadt?

– Niemcy wymyślili tę nazwę. Mieli takiego generała, który tu walczył w 1914 roku. Karla von Litzmanna. I tak go postanowili uhonorować, zmienili miastu nazwę z Łodzi na Litzmannstad – miasto Litzmanna.

Dlatego teraz Jutka zasypia dopiero nad ranem. Dobrze, że dziadek również cierpi na bezsenność – mogą sobie porozmawiać o tym, co się wydarzyło i dlaczego wszystko tak się zmieniło. I po co siedzą w tym dziwnym miejscu, co nazywa się Łódź, choć wcale nie powinno się tak nazywać. Gdyby tu płynęła rzeka, jak u nich w domu, w Warszawie, to jeszcze można by to było zrozumieć. Ale tu nie ma rzeki, tylko jakieś strugi i to jest niepojęte. A tak bardzo się cieszyła, że przyjedzie do dziadka Dawida Cwancygiera, co leczy zęby w Łodzi. Przyjechali, żeby być razem. Przyjechali i coś się stało ze światem... Coś się zepsuło...


W nocy, kiedy omówią już kilka razy w tę i we w tę, co też się działo w getcie, a uparty sen dalej nie przychodzi, dziadek opowiada bajki. Zupełnie inne od tych, które słyszała od mamy. Odrobinę straszne są te jego bajki, ale dzięki nim prawdziwy świat wydaje się mniej straszny. Z kolei Estera opowiada normalne, takie jak mama. Tylko ciotka ma jedną poważną wadę. Zasypia błyskawicznie. Ledwo zacznie opowiadać, już jej się oczy zamykają, już traci wątek, po czym z wysiłkiem podejmuje nowy z zupełnie innej bajki. Dziś też tak było. Obok nich siedział dziadek, zajęty naprawianiem rozsypujących się ze starości zimowych butów Jutki, kupionych na straganie za ciężko zarobione pieniądze. A kiedy skończył, postanowił zrobić wnuczce na drutach ciepłe rękawiczki ze sprutego sweterka. Jedne już zrobił dla Estery, z pięcioma palcami, bez czubków. Do pracy w resorcie gumowych płaszczy przy samym Rynku Bałuckim.

Od wygasającego piecyka bił nikły blask i ciepło.

– Królewicz pocałował Królową Śnieżkę i zatruty kawałek bułki z kiełbasą wyleciał jej z ust. Obudziła się z ciężkiego snu...

Jutka przez jakiś czas słuchała zaspanej, jak sama Śnieżka, ciotki, zainteresowana tą zupełnie nową wersją bajki, ale po chwili zirytowała się.

– Estero, Królowa Śnieżka połknęła zatrute jabłko, a nie bułkę z kiełbasą – powiedziała pouczającym tonem.



– Sama widzisz, Jutko, głodnemu chleb na myśli – zaśmiał się serdecznie dziadek, migając wesoło drutami.

– Taaak, taaak, rzeczywiście – ocknęła się ciotka. – Jabłko! Wypadło jej z ust jabłko. Kosztela. Taka w kropeczki, jakby obsypana wanilią. Słodka, taka słodka – mruknęła rozmarzona. – I wtedy...

– W bajce nie ma nazwy jabłka – zirytowana Jutka aż usiadła na łóżku. – Opowiadaj tak, jak było. W bajce musi być zawsze tak samo.

Cień jedynej stojącej na stole świeczki, oświetlającej niewielki pokoik, chwiał się teraz od kolejnego wybuchu śmiechu dziadka Dawida.

– Nie bądź przemądrzała! Że też ci się nie znudzi! Tysiąc razy to samo. W kółko i na okrągło.

– W bajce musi być porządek! – upierała się Jutka.

– Ale to takie nudne!

– Wcale nie! W dodatku nie opowiadałaś mi o Królewnie Śnieżce, tylko o Smoku Wawelskim – wypomniała ciotce.

– Niemożliwe! – oburzyła się Estera.

– Ma rację. Opowiadałaś o Wawelskim – mruknął dziadek.

– To chyba z głodu. Zjadłabym coś – poskarżyła się ciotka.

– Rano, córciu, będzie śniadanie – pocieszył ją ojciec, czyli dziadek Jutki.

– Ciągłe jesteś głodna albo śpiąca – wypomniała jej dziewczynka.

– Jestem śpiąca w nocy. To normalne.

– Nie, wcale nie – upierała się Jutka.

– Owszem, normalne. To ty i ojciec, znaczy dziadek, nie jesteście... zwyczajni. Normalni ludzie w nocy są śpiący jak ja – prawie warknęła i odwróciła się plecami do dziewczynki. – I nie odkrywaj mnie. Już prawie wygasło w piecu. Zimno tu.

– No dobrze, ale skończ bajkę... – Jutka podniosła palec do góry. – Tę o Smoku Wawelskim!

– Przecież prawie skończyłam.

– Jeszcze nie.

– Za uratowanie królowny i uwolnienie całego miasta od złego smoka król dał Szewczykowi Dratewce...

– Estera nieubłaganie odpływała w zasłużony sen. – Dał Dratewce...

– No co mu dał? – spytała natarczywie Jutka.

– Król dał Dratewce...

– No?

– Dał mu...

– CO-MU-DAŁ? – skandowała zirytowana dziewczynka.

– Dał mu... papierosy... – ostatkiem sił wyszeptała ciotka.

– No coś ty! – Jutka nie kryła oburzenia. – Nie papierosy, tylko królową za żonę!

– Papierosy i królową za żonę – sapnęła Estera i zasnęła już nieodwołalnie.

– Dziadku! Królową za żonę i pół królestwa. – Jutka już miała budzić ciotkę, żeby jej o tym przypomnieć.

– Nie budź! – ulitował się nad śpiącą dziadek. – Estera idzie rano do pracy. Musi się wyspać.

– Ale przecież król nie dał szewczykowi papierosów... To nie tak było.

– Cioci się pomyliło.

– Może... Chociaż mógłby te papierosy wymienić na mąkę albo od razu na słodką bułkę, albo bułkę z kiełbasą... – rzeczowo zastanawiała się Jutka.

Dziadek drgnął przy stole jak rażony prądem.

– A wiesz, jak miał na imię Smok Wawelski? – spytał, żeby odwrócić uwagę wnuczki od kwestii wymiany papierosów na jedzenie.

– Chaim?

– Nie. Arie. Na pierwsze miał Arie, a na drugie Kazimierz.

– Smok Arie Kazimierz Wawelski? – upewniła się Jutka.

– Tak.

– W bajce tego nie ma...

– Nie ma, bo to tajemnica, którą tylko ja znam. Ja i ty.

– Tajemnica?

– Tak.

– Czyli nie mogę o tym nikomu powiedzieć? Joskowi też?

– Nie możesz.

– Szkoda. Janie też nie?

– Nie.

– To bardzo przykra tajemnica, jeśli nie można jej nikomu powiedzieć.

– Na tym właśnie polegają tajemnice.

– Ale jak nikt nic nie wie, to jakby jej nie było. Nie ma z niej żadnej przyjemności.

– Tajemnice nie są dla przyjemności.

– Czyli to tajemnica, że Smok Arie Wawelski był Żydem?

– Niezupełnie. Jego matka była smoczą spod Kielec, a tata Żydem z Pragi, stąd te dwa imiona: żydowskie – Arie, żeby był silny jak lew, i polskie – Kazimierz, żeby był dobry i mądry jak król Kazimierz Wielki.

– To dlaczego był taki zły?

– Przede wszystkim był nieustannie głodny. To właściwie był chory smok.

– Ale dlaczego? – Głos Jutki stawał się coraz bardziej senny.

– Nie wiedział, kim jest.

– Ten smok jest podobny do mnie, bo mój tata jest Żydem z Polski, a mama Żydówką z Wiednia.

– No właśnie.

– Właśnie... – wymruczała dziewczynka i wreszcie zasnęła.

Śniła jej się bajka o silnej jak lwica syrence Marysi, która żyła w wielkiej rzece, płynącej przez Stare Miasto, przez Marysin, przez całe Bałuty. A mosty nad aryjskimi ulicami Zgierską i Limanowskiego były prawdziwymi mostami i spinały dwa brzegi rzeki, a nie dwa chodniki. Syrenka też nie miała taty ani mamy, bo gdzieś zniknęli 6 marca 1940 roku. Spotkały się na piaskowej łasze w upalne lato i syrenka Marysia nauczyła Jutkę nurkować i łowić ryby, i razem popłynęły szukać swoich rodziców. I wcale nie było drutów kolczastych, zasieków i wydzielonego miasta-więzienia, policji żydowskiej i niemieckich strażników. Tylko chłodna rzeka, gorący wiatr i słońce.

Pewnego mroźnego dnia na parapet ich okna przyleciał gawron. Jutka od razu zauważyła, że nie był to zwyczajny ptak. Siedział spokojnie, ale kiedy zobaczył ruch za zamarznąłą szybą, zaczął walić w nią dziobem.

– Dziadku! – zawołała Jutka. – Czarny ptak do nas przyleciał. Chyba chce wejść.

– To gawron – powiedział dziadek i otworzył okno.